

Rozdział 1

Wtorek 2025

To nie był dobry wtorek. Nie dość, że się spóźniłem, to jeszcze musieliśmy oddać sprawdzian z matematyki.

Miałem jeszcze odrobinę nadziei, ale szybko rozbiła się ona jak szklanka spadająca na podłogę.

Piątka, jeden punkt od szóstki!! Kiedy wracam do domu, ta piątka nie jest już łatwą piątką – to wstyd. Ona będzie krzyżeć! Krzyki mojej macochy, które znów mnie zagłuszają i sprawiają, że czuję się bardzo mała.

Już słyszę, jak mówi, że jestem rozczarowaniem, hańbą, że nigdy nie powinna była wpuścić mnie do swojego życia, bo wszystko, co mogę zrobić, to ukraść jej nadzieję na lepsze życie, pochować ją i pozwolić jej gnić pod ziemią.

Te myśli nie dają mi spokoju, prześladowają mnie, krążą w mojej głowie w trybie turbo przez cały dzień - aż do dzwonka oznajmającego koniec zajęć, który zwiastuje mój koniec. Teraz stoję tutaj, przed naszym domem.

Mahoniowe drzwi są szczelnie zamknięte, a złota klamka przede mną błyszczy w słońcu. Czy chcę wejść? Nie, wolałbym się odwrócić, ale nie mogę tego zrobić mojemu ojcu. Mimo że nie mam już nic na świecie, nadal go mam.

Zła ocena w domu jest jak burza, która nadchodzi, jak wojna, w której wszyscy są przeciwko mnie, a ja będę musiał stawić czoła tej wojnie. W ten sposób motywuję samą siebie.

Nawet jeśli upadnę na ziemię, to i tak podniosę się i wygram swoją pierwszą bitwę – bitwę ze swoim strachem.

To moje ostatnie słowa, zanim przekręcę klucz w zamku, a drzwi skrzypną tak głośno, że cały dom się zatrzęsie.

Zdejmij buty i przenieś się w mój koszmar, bo już słyszę, jak wyrzuca miski z szafki w kuchni. Ona mnie usłyszała.

„Obrzydliwe, Isabel, jak możesz tak ustawiać szafki?!” krzyczy tak głośno, że słychać ją z odległości trzech domów.

„A co z testem z matematyki? „Znów niedbale napisałeś?” – syknęła do mnie. Tymczasem ja stałam nieruchomo w drzwiach kuchni i obserwowałam, jak z całą siłą zrzucała wszystkie miski z szafki na podłogę. Odbiły się; gdyby nie były wykonane z plastiku, roztrzaskałyby się o ziemię.

Ale teraz, zirytowana, zerwała mi plecak z ramion i zaczęła w nim grzebać, szukając moich prac domowych z matematyki.

„Aha, a co to jest?” W jej dłoni trzymała moją pogniecioną pracę, zwiniętą w małą kulkę papieru. Miałam nadzieję, że uzna to za bzdurę.

„Piątkę?” złapała mnie za włosy – tak mocno, że myślałem, że wyrwie mi włosy z głowy. Zostałem wypchnięty na górę po schodach. „Bezużyteczny bachor, jaki wstyd! Nic nie możesz zrobić - jak trudna może być ósma klasa?”

Zatrzymała się przed moimi drzwiami, wciąż mocno trzymając mnie za włosy, wepchnęła mnie do środka i upadłem na ziemię.

Ostatnie co o niej słyszałem to to, że trzasnęła drzwiami, zamknęła je i wyszła, przeklinając. A potem nadeszła powódź!

Potok ciepłych łez spływał mi po policzkach i w końcu kapał z brody. Oddychaj - wdech i wydech, wdech i wydech...

Muszę się uspokoić, zachować jasny umysł i osuszyć łzy.

Niech moje morze się uspokoi. Zamykam oczy i wszystko milknie. Już wiem: muszę się stąd wydostać!!

Rozdział 2

W powietrzu unosi się zapach starych książek.

Moje koniuszki palców przesuwają się po skórzanych okładkach książek na półce. Inni tego nienawidzą, ale dla mnie cisza jest czymś cudownym, uspokajającym i przyjemnym.

W tym dużym pomieszczeniu panuje taka cisza, że można usłyszeć bicie własnego serca i oddech.

Dlatego kocham bibliotekę, bo to jedyne miejsce, gdzie nikt nie krzyczy, gdzie nikt nie patrzy na mnie z pogardą, jedyne miejsce, gdzie nikt mnie nie znajduje.

Czuję w dłoni stare strony, papier tak stary, że prawie się rozdziera!

Jestem pewna, że przeczytałam już przynajmniej połowę książek, ale nigdy mi się nie nudzą. To tak, jakbym każdego dnia przeżywała nową przygodę, jakbym wyrwała się ze swojej codzienności, by walczyć ze smokami, przepłynąć morze albo znaleźć prawdziwą miłość.

Więc dziś znów przechadzam się korytarzami mojego schronienia, szukając nowej przygody, nowego świata, w którym mógłbym się zanurzyć.

Nagle moją uwagę przykuła książka oprawiona w czerwoną skórę, z herbem na grzbiecie.

Musiała być nowa, bo nigdy wcześniej nie widziałem tej książki. Stała tam w tak odosobnionym miejscu i wydawała się niemal mistyczna. Powiniennem to odkryć! Wszystko we mnie jest takie samo: muszę przeczytać tę książkę!

W mojej dłoni wydaje się on tak szlachetny, drogi, a zarazem skromny, tak prosty, a zarazem wyjątkowy.

Otwieram książkę i już pierwsze zdanie mnie przykuwa: „Jak mogłeś mnie tak oszukać?”

Który autor napisał tę książkę, jaką przygodę mogę w niej odkryć?

Nie mogę się powstrzymać, czuję się jeszcze bardziej wyczerpana. Kontynuuję przeglądanie stron, wydają się naprawdę stare, kruche, jakby miały zamienić się w proch, jeśli zrobię jeden niewłaściwy ruch.

Wtedy zauważam, że brakuje jednej strony. To rozdzierające serce, że tak piękna książka została zbezczeszczona w ten sposób.

Jedyną rzeczą widoczną na wyrwanej stronie jest pojedyncza nuta, od której nie mogę oderwać wzroku, ale im dłużej na nią patrzę, tym bardziej kręci mi się w głowie.

Chcę zamknąć tę książkę, ale nie mogę. W jakiś sposób mnie ona oczarowuje. Moje ciało jest zamarznięte, sztywne, nie mogę odłożyć tej wyjątkowej książki.

Widzę swoje ciało siedzące tam, jakby sparaliżowane, mój oddech wstrzymuje się, światło zaczyna migotać, półki rozmazują się jak wodospad i nagle, nagle wszystko staje się czarne.

Rozdział 3

Pani?"

„Pani, czy czuje się pani dobrze?”

Poczułem dłoń na ramieniu. Moje oczy nadal były mocno zamknięte.

„Pani?”

Gwałtownie podniosłam się do pozycji siedzącej, głowa mi pulsowała, a przede mną stanął mężczyzna w jakimś przebraniu. Miał ciemne włosy i duży nos. Jego broda była zadbana i sięgała tuż nad podbródek, a głos przyjemny, głęboki, ale melodyjny.

„Gdzie jestem?”

Nadal byłem oszołomiony, ale mimo to wiedziałem, że nie jestem już w bibliotece, ponieważ tam nie usłyszałbym ani ćwierkania ptaków, ani nie poczułbym ciepłych promieni słońca na twarzy.

Zniknęły półki z moimi ukochanymi książkami, a na ich miejscu stanęły drzewa z koronami sięgającymi wysoko, niemal w białe chmury zdobiące niebo.

Ale był to wyraźnie piękny, wyjątkowy widok, dokładnie taki, jaki sobie wyobrażałam w moich opowieściach na jawie, zupełnie inny od krajobrazów mojego małego, opuszczonego miasteczka. Było w tym coś baśniowego.

„Pani, znalazłem ją tutaj, jej ubrania są takie... takie dziwne, proszę mi powiedzieć, skąd pochodzą? Co sprowadziło cię do naszego skromnego miasteczka?”

Mężczyzna podszedł odrobinę bliżej, a jego oczy rozszerzyły się, jakby doznał szoku.

„Nie jesteś czarownicą, prawda?!” Och, proszę wybaczyć moją bezczelność, klękam przed Tobą, ale proszę Cię, zostaw swoje przekleństwa w spokoju, o proszę, wielka czarodziejko!”

Boże, co było nie tak z tym człowiekiem? Nazwał mnie wiedźmą. O mój Boże, gdzie ja wylądowałam?

Chociaż - gdy przyjrzałem mu się bliżej, jego ubranie było naprawdę dziwne, nosił coś w rodzaju kaptura, który całkowicie zakrywał mu głowę i szyję, wyglądał trochę jak kaptur swetra, ale też zupełnie inaczej. Jego koszula również miała brązowe skórzane guziki i była w kolorze skorupki jajka, a spodnie były zrobione z materiału przypominającego len. To było bardzo dziwne i przypominało mi – ale to niemożliwe – średniowieczny festiwal, w którym uczestniczyłem na brzegach Renu.

Myśli te sprawiły, że poczułam się nerwowo i niepewnie, wręcz przestraszona. Jasne było, że nawet nie wiedziałam, gdzie jestem; ten człowiek, który do mnie przemówił, był moją jedyną nadzieją na znalezienie odpowiedzi na moje wątpliwości.

„Przepraszam, ale czy wiesz gdzie jestem? Chyba się zgubiłem. Ale na pewno nie jestem „czarownicą”!

Dzięki moim energicznym zdaniom, moja głowa powoli przestała kręcić się jak szalona i wszystko stało się odrobinę jaśniejsze.

Mężczyzna stojący przede mną był drobnej postury, miał duży, krzywy nos, czarne włosy lekko wystawały spod nakrycia głowy i patrzył na mnie swoimi głębokimi brązowymi oczami.

„Dokąd chcesz iść? Dokąd zaprowadzi ich ich chwalebna ścieżka?”

Rozumiałem jego język, ale jednocześnie był on dla mnie obcy!

Zapytałem w odpowiedzi: „Czy nie jestem w Emmerich?”

Przy całym szacunku, nie może to być Emmerich! Drzewa są za wysokie, nie widać żadnych domów, nawet w tym małym lesie, do którego często chodzę. Można zobaczyć domy i usłyszeć hałas ulicy, narzekających ludzi, więc jeśli to był Emmerich, to naprawdę jestem magikiem.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie pytająco. „Skąd pochodzisz, gdzie jest twoja rodzina?” – zapytał, nie czekając na moją odpowiedź i kontynuując rozmowę. Ale jestem zbyt dezorientowany, żeby słuchać. I pewnie można to było wyczytać z mojej twarzy.

„Pani, czy mnie słuchasz?” Głos mężczyzny zdawał się zlewać z szumem wiatru wiejącego przez czubki drzew. Mój oddech znów stał się szybszy, a moja głowa znów była owinięta w watę. Co tu się działo?

Aby się uspokoić, zmusiłem się, by spojrzeć w oczy mężczyzny, który był widocznie zaniepokojony – a może to dziwny strach narastał w jego wnętrzu?

„Ja... ja naprawdę nie wiem, gdzie jestem” – wyjąkałam, siadając. Moje dłonie szukały oparcia w szorstkiej korze drzewa. Świat wokół mnie był tak inny, tak żywy. Nawet powietrze zdawało się być pełne energii, jakby szeptało opowieści.

Mężczyzna skinął głową, marszcząc głęboko brwi. „Twój stan mnie niepokoi, służąco. Może zostałeś przeklęty... albo rzuciłeś zaklęcie, które poszło nie tak?” Cofnął się o krok i teraz mogłam zobaczyć jego strach, że mój dotyk zaczaruje również jego.

„Ja... nie jestem przekleństwem, nie jestem magikiem. „Ja... nie jestem stąd” – powiedziałem.

Zmrużył oczy i zdawał się mnie studiować, jakby chciał czytać z mojej twarzy jak z książki. „Nie stąd? Mówisz zagadkami. Ale ty jesteś w lesie niedaleko mojego rodzinnego miasta – Embrica decora! Cokolwiek ci się przydarzyło, wydaje się niezwykle i nie z tego świata. „Proszę” – powiedziałem w końcu – „potrzebuję pomocy. Nie rozumiem, co się stało, co się tu teraz dzieje. Byłem w bibliotece, czytałem wyjątkową książkę, a potem... jestem tutaj.

Mężczyzna znów zmarszczył brwi, jakby miał trudności ze zrozumieniem moich słów. Ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, z oddali rozległ się głośny krzyk.

„Geraldzie! Co robisz? Praca w polu nie czeka!” Głos kobiety, ostry jak nóż, przeciął spokojną ciszę lasu.

Mężczyzna – teraz już wiedziałem, że to Gerald – wzdrygnął się i odwrócił. „Już idę, mammo!” – krzyknął, zanim znów zwrócił się do mnie.

„Posłuchaj, służąco. Jeśli nie wiesz dokąd iść, chodź ze mną do wioski. W tym miejscu spacerować po lesie nie są bezpieczne. Może jest tam ktoś, kto może ci pomóc.

Zawahałem się. Wszystko we mnie krzyczało, żebym zaufała temu nieznanemu, bo nie miałam innego wyboru. Jednocześnie wiedziałem, że ten świat jest tak dziwny, że każdy krok będzie prowadził na jeszcze bardziej nieznaną terytorium.

„Dobrze” – powiedziałem w końcu, a serce wciąż mocno biło mi w piersi. „Idę z tobą.” Gerald zdawał się odczuwać ulgę, lecz jego wzrok pozostał czujny. Razem ruszyliśmy wąską ścieżką przez las. Towarzyszyły nam jedynie śpiew ptaków i szelest liści.

„O jakiej szczególnej książce mówiłeś?” – zapytał w końcu, gdy zbliżaliśmy się do skraju lasu.

„Był... był czerwony, z herbem na odwrocie” – odpowiedziałem. „Wydawało się stare, bardzo stare i bardzo cenne. Niestety, jednej strony prawie brakowało. „Na małej kartce papieru widoczny był tylko jeden wers utworu.”

Gerald nagle się zatrzymał. Jego twarz stała się poważna, niemal przestraszona. „Herb, mówisz? A brakująca strona? Dziewczyno, mam nadzieję, że nie trzymałaś w rękach czegoś, co powinno pozostać ukryte.

„Co o tym myślisz?” – zapytałam, a po moich ramionach przebiegła gęsia skórka. Ale zanim Gerald zdążył odpowiedzieć, przed nami otworzyła się polana, a widok rozciągającej się przed nami wioski Embrica decora zaparł mi dech w piersiach.

Miejsce przed nami leżało nad rwącą rzeką, otoczone delikatną mgłą. Domy zdawały się pochodzić z innej epoki – ich dachy były zrobione ze słomy, a ściany z nieregularnego kamienia. Dym unoszący się z kominów mieszał się ze świeżym leśnym powietrzem, nadając temu miejscu przytulną, a zarazem tajemniczą atmosferę.

Niezrażony moim zdumieniem Gerald poprowadził mnie wąską ścieżką dalej w głąb wioski, ale im bliżej byliśmy, tym jego kroki stawały się coraz bardziej niepewne.

Mieszkańcy Embrica decora, którzy zmierzali w naszym kierunku, zatrzymywali się i patrzyli na mnie z nieukrywaną ciekawością. Dziewczyna z koszem pełnym jabłek zrzuciła swój ciężar, a jej oczy szeroko się otworzyły, gdy mnie zobaczyła.

„Gerald” – wyszeptała pośpiesznie – „kto to jest?”

„Znalazłeś ją w lesie? Czy nie wiesz, że obcy mogą przynieść pecha?”

„Cicho bądź, Marto” – odpowiedział Gerald, machając ręką. Ale jego głos był napięty, jakby nie chciał zwracać na mnie zbytnej uwagi. „Ona jest po prostu zagubiona. Zabiorę ją do mistrza Humberta, on będzie wiedział, co zrobić.”

„Mistrzu Humbert?” powtórzyłem cicho. Gerald skinął głową, gdy szliśmy nierówną ścieżką przez wioskę.

„To mędrzec we wsi, uczony. Jeśli ktokolwiek może ci pomóc, to właśnie on.”

Ludzie wciąż patrzyli na mnie, nawet gdy zagłębialiśmy się w wioskę. Powietrze wydawało się cięższe, pełne niewypowiedzianych pytań i ukrytej wrogości. Gerald zaprowadził mnie do małego domku na skraju wioski. Dom zbudowano z ciemnego drewna, a na drzwiach wisiały suszone wiązanki ziół, które cicho szeleściły na wietrze.

„Poczekaj tutaj” – powiedział Gerald, zanim zapukał do drzwi.

Po chwili drzwi lekko się uchyliły. Spojrzał na nas starszy mężczyzna o śnieżnobiałych włosach i długiej, pomarszczonej twarzy. Jego oczy, przejrzyste jak niebieskie szkło, badały mnie przenikliwie, ale nie bez złośliwości.

„Gerald, czego chcesz?” zapytał spokojnym, ale zdecydowanym głosem.

„Mistrzu Humbert, tę młodą damę... znaleziono w lesie. Opowiada o książce z herbem i brakującą stroną. Myślałem, że może...” Gerald puścił zdanie w powietrze, ale wyraz twarzy Humberta zauważalnie się zmienił.

„Książka, mówisz?” Zmrużył oczy i odsunął się, żeby nas wpuścić. „Proszę wejść.”

Wnętrze jego domu było wypełnione półkami sięgającymi sufitu, na których stały książki, butelki i dziwne przedmioty. W powietrzu unosił się zapach starego papieru i suszonych ziół.

„Usiądź” – powiedział krótko, wskazując na krzesło stojące przed wąskim stołem. Gerald stał jak strażnik przy drzwiach.

„Co wiesz o tej książce?” – zapytał Humbert, siadając naprzeciwko mnie.

Przełknęłam ślinę i wyjąkałam: „Niewiele. Znalazłem to w bibliotece. To było... dziwne i magiczne jednocześnie. Stara, z czerwoną okładką i herbem na grzbiecie. Gdy ją otworzyłem, okazało się, że brakuje jednej strony i jest tylko skrawek papieru z zapisaną nutą. Potem...” Zawahałam się, szukając słów. „...nagle się tu znalazłem.”

Humbert odchylił się do tyłu i zaczął bębnić palcami po blacie stołu. „Książka z herbem i brakującą stroną” – mruknął, jakby ważąc słowa. „To brzmi jak Księga Zaginionych Głosów”.

„Księga Zaginionych Głosów?” – powtórzyłem.

„To raczej legenda niż prawda” – powiedział powoli – „ale mówią, że ta książka jest kluczem. Otwiera bramy w innych momentach – ale każda brama ma swoją cenę.” „Jaka cena?” – wyszeptalam, a serce waliło mi w piersi.

Humbert patrzył na mnie przez długi czas, jakby chciał się upewnić, czy jestem gotowy usłyszeć odpowiedź. „To zależy od tego, co przyniosłeś przez bramę – lub co zostawiłeś za sobą”.

Poczułem, jak krew zamarza mi w żyłach. „A jak mogę się dowiedzieć, czego książka ode mnie chce?”

Humbert uśmiechnął się słabo, ale był to uśmiech pozbawiony ciepła. „To książka znalazła ciebie, a nie odwrotnie. Dowiesz się, czy tego chcesz, czy nie. Ale mogę ci powiedzieć jedno: dopóki nie znajdzie się brakująca strona, brama pozostanie otwarta – a ty będziesz w niebezpieczeństwie”.

Słowa mistrza Humberta bardzo mi ciążyły. Książka otwierająca drzwi do innych czasów – i cena, jaką musiałem za to zapłacić? Miałem wrażenie, że grunt usuwa mi się spod stóp, ale Gerald i Humbert nie wydawali się tym specjalnie zaskoczeni. Być może w tamtych czasach takie rzeczy były czymś normalnym.

„Dziękuję, Mistrzu Humbert” – powiedziałem w końcu. „Ale... jak mam znaleźć tę brakującą stronę?”

Humbert powoli wstał i sięgnął po starą, ozdobioną symbolami księgę, która stała na jego półce. „Pieśń utraconych głosów” – mruknął, otwierając książkę. „To część legendy. Mówi się, że brakująca strona zawiera pierwszy werset starożytnej pieśni, wskazujący drogę do jej źródła.

„Jego źródło?” – zapytałem.

Humbert skinął głową. „Rzeka, przejście, miejsce, gdzie spotykają się czasy. Ale bądź ostrożny: ta piosenka przyciąga nie tylko tych, którzy szukają, ale także tych, którzy chcą cię powstrzymać.”

Ledwo wypowiedziałam te słowa, gdy poczułam dziwne uczucie, jakby jakaś niewidzialna ręka dotknęła mojego karku. Poczułem, że to dopiero początek.

Rozdział 4

Następnego dnia Gerald zaprowadził mnie do centrum miasta. Rozstawiono targ, a w powietrzu unosiły się głosy i zapach przypraw, pieczonego mięsa i świeżego chleba. Ale w całym tym zamieszaniu coś szczególnego przykuło moją uwagę – melodia.

Była to delikatna melodia grana na lutni, lecz jednocześnie miała w sobie tyle mocy, że potrafiła zepchnąć wszystko inne na dalszy plan. Głos, który śpiewał, był czysty jak strumień górski, a jego słowa zdawały się przemawiać bezpośrednio do mojej duszy:

„Posłuchaj głosów szepczących cicho, pieśni, której czas nigdy nie zapomniiał.

Rzeka, która prowadzi w wieczną podróż do morza, które zawiera wszelką prawdę.”

Zamarłem. Było tak, jakby każde moje słowo rozbrzmiewało we mnie niczym echo, które do mnie przywoływało. Nie wiedząc, co robię, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, podążałem za melodią rozbrzmiewającą w zaułkach. Świat wokół mnie wciąż był słyszalny, lecz już wyblakł, a ja znalazłem się na brzegu rzeki. Czy to była szeroka rzeka, którą zobaczyłem, gdy przybyłem do Embrica decora?

Przyglądałem się wszystkiemu uważnie. Woda błyszcząca w świetle słonecznym, ale nie był to zwykły blask. Było żywe, jakby światło tańczyło, a rzeka poruszała się w rytm piosenki.

Na brzegu leżał stary statek, koga – znałem ten termin z jednej z książek w bibliotece – którego masywny drewniany kadłub zdobiły artystyczne rzeźby. Trzy wysokie maszty dźwigały białe, lekko wytarte żagle, które łopotały na wietrze, a postać na dziobie przedstawiała dumnego gryfa, opiekuńczo czuwającego nad falami.

Poczułem, że moje stopy same niosą mnie przez brzeg, coraz bliżej statku, który majestatycznie leżał przede mną. Melodia ucichła, lecz echo zdawało się nadal unosić w powietrzu. O molo opierał się chłopiec, niewiele starszy ode mnie, z potarganymi brązowymi włosami i w kurtce, która wydawała się na niego za duża. Gdy mnie zauważył, podniósł wzrok, a na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

„Jesteś tu ze względu na melodię, prawda?” – zapytał, nie czekając na odpowiedź. Jego głos brzmiał ciepło i zachęcająco, z lekkim akcentem, którego nie potrafiłem rozpoznać. „To była moja siostra. Często ćwiczy na brzegu. Ale wygląda na to, że to cię tu zaprowadziło.”

Przytaknąłem niepewnie. „To było tak, jakby melodia mnie wzywała... i wtedy... nagle znalazłem to wszystko”.

Roześmiał się cicho i wskazał na statek. „Karvel. Należy do mojego ojca. Statek handlowy, który czasami przewozi więcej opowieści niż towarów.

„Dokąd ona płynie?” – zapytałem, wciąż w transie zachwycając się pięknem statku i rzeki, nie wiedząc tak naprawdę, dlaczego chciałem to wiedzieć.

„Do Harderwijk nad Zuiderzee” – powiedział z nutą dumy w głosie. Wyjeżdżamy za godzinę. Mojemu ojcu przydałby się ktoś taki jak ty – wygląda na to, że szukasz przygód.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem i we mnie zaczęła płonąć iskra podniecenia. Być może było to dokładnie to, czego szukałem: ucieczka, nowy początek, podróż w nieznane.

„Adrian” – przedstawił się, wyciągnął rękę i uśmiechnął się. „A kim ty jesteś?”

„Isabell” – powiedziałam w końcu, głosem cichym, ale wystarczająco stanowczym, by dało się mnie usłyszeć.

Adrian skinął głową z zadowoleniem. „Cóż, Isabell, jeśli jesteś na tyle odważna, żeby z nami popłynąć, to zapraszamy. Mój ojciec lubi mieć na pokładzie nowe twarze, pod warunkiem, że nie boją się pracy.

Zawahałem się na moment, ale potem zdałem sobie sprawę, że nic mnie już tu nie trzyma, ani teraz, ani w żadnym innym czasie. Gerald, który wyprowadził mnie z lasu, Humbert, który pokazał mi zagadkę książki – oni mnie rozumieją. Być może wiedzieli już więcej niż ja. Jednak w głębi duszy czułem, że to początek czegoś większego.

Godzinę później stałem na pokładzie karaweli. Wiatr rozwiewał mi włosy, a słony zapach rzeki mieszał się ze znajomym zapachem drewna i liny. Adrian pokazał mi najważniejsze miejsca na statku, podczas gdy załoga była już zajęta wypływaniem.

„Harderwijk jest portem handlowym” – wyjaśnił, przywiązując linę. „Wiele statków tam cumuje. Niektórzy zostają na kilka dni, inni znikają tak szybko, jak się pojawili.

Ale między historiami handlowymi kryją się też tajemnice.”

„Sekrety?” – zapytałem ciekawie.

Adrian uśmiechnął się. „Tak, ale nie powiem ci, dopóki nie spróbujesz żeglarstwa.”

Statek powoli zaczął się poruszać, a ja poczułem, że świat wokół mnie się zmienia. Powietrze stało się chłodniejsze, a słońce zniknęło za grubą warstwą chmur. Wiedziałem, że czeka na mnie coś wielkiego – coś przekraczającego moją wyobraźnię.

I chociaż jednocześnie czułem strach, ciekawość i ekscytację, jedno wiedziałam na pewno: nie było odwrotu – i nie chciałam wracać!

Rozdział 5

O świcie zbliżyliśmy się do nieznanego brzegu. Wybrzeże Harderwijk powoli zaczęło pojawiać się na horyzoncie, początkowo jako rozmazany cień na tle nieba. Miasto było labiryntem skomplikowanych dachów, wysokich wież i wąskich uliczek, które od strony morza wyglądały jak żywe dzieło sztuki. Ale im bliżej byliśmy, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że coś jest nie tak.

W porcie było dziwnie cicho, a w powietrzu wisiło złowieszcze napięcie.

Adrian jako pierwszy wyskoczył z łodzi i pomógł mi zejść po desce. „No więc jesteśmy tutaj” – powiedział, rozglądając się dookoła. Jego twarz stała się nagle tak poważna, że wyczułam, iż on także jest spięty i zauważył moje napięcie.

Nagle rozległ się krzyk. "Ogień! „Ogień!” Ludzie wokół nas zamarli na moment, a potem wpadli w panikę. Ciemny dym uniósł się w niebo, a pomarańczowe płomienie nagle rozświetliły noc niczym złowieszcze światło.

„Zajazd! „Pali się!” – krzyknął ktoś. Adrian bez wahania uciekł. „Zostań tutaj!” – krzyknął przez ramię, ale nie mogłam się powstrzymać i poszłam za nim.

Pożar rozprzestrzenił się już dalej i nieubłaganie trawił stare budynki. Adrian rzucił się w wir chaosu, pomagając nosić wiadra i ratować ludzi z płomieni. Jego twarz była pokryta sadzą, a ruchy zdecydowane. Ja też chciałam pomóc, ale mogłam tylko bezradnie przyglądać się, jak zapuszczał się coraz dalej w strefę zagrożenia.

Po czym zamilkł. Wśród głośnego zgiełku – krzyków, buchających płomieni i trzasku walących się belek – dało się wyraźnie usłyszeć delikatną melodię – tak znajomą, a jednocześnie dziwną. To był głos dziecka śpiewającego pomimo grożącego niebezpieczeństwa:

„Czas płynie w morzu płomieni, gdzie cienie cicho strzegą snu.

Płonie ogień, przebijając się przez cierpienie, do świata, który niesie nadzieję.

Słowa te przebiły się przez płomienie i dotarły do nas niczym rozpaczliwy krzyk. Adrian ruszył bez wahania, a ja podążałam tuż za nim.

Potem zobaczyłem, że się zatrzymał. Przez dym dostrzegł małe dziecko, które siedziało skulone w kącie i gwałtownie kaszłało. Adrian bez wahania podbiegł do niego, wziął dziecko na ręce i wyciągnął je z płomieni. Kiedy jednak dotarł na bezpieczne miejsce, zauważył coś niewypowiedzianego.

Dziecko spojrzało na niego dużymi, szklanymi oczami, na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, a po policzkach umazanych sadzą spływały łzy. Adrian uklęknął, trzymając w ramionach drżące dziecko.

„Już jesteś bezpieczny” – powiedział cicho, ale kaszel dziecka stawał się coraz słabszy. Otworzyło usta, aby coś powiedzieć, lecz z ich ust wydobył się jedynie szorstki szepot. Na koniec podniosło małą, drżącą rączkę i wręczyło Adrianowi podartą kartkę papieru. „Proszę... zatrzymaj... to” – wyszeptało dziecko.

Adrian przytulił dziecko mocniej, a jego serce zdawało się rozpadać na tysiąc kawałków. „Nie, nie, zostań ze mną” – błagał, lecz oczy dziecka powoli zamknęły się, jego oddech ustał, a drobne ciało zwiotczało.

Z gardła Adriana wyrwał się rozpaczliwy krzyk. Opadł na kolana, wciąż trzymając w ramionach martwe dziecko. Świat wokół nas zdawał się blednąć i przez chwilę towarzyszył nam tylko nie do zniesienia ból straty. Jednak gdy Adrianowi udało się pozbiierać myśli, nad nim zawaliła się płonąca belka stropowa. Krzyczałam, ale nie zdążyłam do niego dotrzeć. Belka uderzyła go i powaliła na ziemię.

Pobiegłam do niego, wyciągnęłam go z całej siły ze strefy zagrożenia i wciągnęłam z powrotem do portu. Był nieprzytomny, oddychał płytko, ale żył. Na statku opatrzyłem jego rany najlepiej jak potrafiłem i czuwałem przy nim całą noc.

Gdy wstał świt, Adrian w końcu otworzył oczy. Jego głos był chrapliwy, gdy powiedział: „Gdzie jestem?”

„Jesteś bezpieczny” – odpowiedziałem cicho.

Powoli podniósł się do pozycji siedzącej, jego wzrok błędził po pokładzie statku, po czym oparł go na dłoni. Dopiero teraz zauważyłem, że nadal trzymał spalony kawałek papieru. „Co to jest?” – zapytałem, ostrożnie biorąc to z jego palców.

Gdy wziąłem od niego prześcieradło, coś z niego wypadło. Była to mała, wytarta moneta, która upadła na drewniany pokład z cichym brzękiem. Jego powierzchnia pociemniała, ale gdy pierwsze promienie słońca padły na niego, przez patynę przebił się złoty blask.

Przybliżyłem je do twarzy, żeby zobaczyć szczegóły. Moneta była artystycznie wytłoczona – z herbem po jednej stronie i okrągłym napisem na krawędzi.

„To nie jest zwykła moneta” – powiedziałem, podając ją Adrianowi. „Spójrz na to.”

Adrian wziął monetę i dokładnie ją obejrzał. Obracał go w palcach, aż udało mu się odczytać napis. „Lubeka...” – mruknął zamyślony.

Lekkie dreszcze przebiegły mi po ciele. „Lubeka... to daleko stąd. Co taka moneta może mieć wspólnego z pożarem w Harderwijk?”

Adrian zmarszczył brwi. „Lubeka jest jednym z najpotężniejszych miast Hanzy. Takie monety mogły być bite w celach handlowych lub jako symbol sojuszu. Ale dlaczego miałyby to być ukryte w spalonym kawałku papieru?”

Isabell spojrzała na kartkę papieru, którą wyjęła z rąk Adriana. Spalone krawędzie łatwo się kruszyły, a sadza pozostawiała ciemne plamy na jej palcach. Kiedy jednak podniosła go do światła, zauważyła, że pod popiołem i śladami po pożarze coś się kryje – delikatny napis, który cudem przetrwał płomienie.

Ostrożnymi ruchami wytarła resztki poparzonej powierzchni. Poniżej znajdują się słowa, które zdają się towarzyszyć melodii napisanej delikatnym, niemal kaligraficznym pismem: „Czas płynie w morzu płomieni, gdzie cienie cicho strzegą snu.

Płonie ogień, przebijając się przez cierpienie, do świata, który niesie nadzieję.

Z każdą sylabą słowa zdawały się nabierać nowego znaczenia. Adrian spojrzał na mnie, jego oczy były pełne determinacji. „Znaleźliśmy inną zwrotkę piosenki, dziwną melodię” – powiedział cicho.

Skinąłem głową – również przekonany. Ta podróż była dla nas większym wyzwaniem, niż się spodziewałem. Ale w głębi duszy wiedziałem, że koniec jest jeszcze daleki.

Rozdział 6

Następnego ranka, gdy ostatni dym z pożaru już się rozwiął, a miasto portowe powoli odzyskiwało przytomność, na karawanie pojawił się ojciec Adriana. Jego twarz była poważna, wyraźnie widać było jego zmartwienia.

„Adrianie” – zaczął ciężkim głosem – „podjęliśmy się zadania. Statek handlowy z Lubeki, który nie nadaje się już do żeglugi morskiej, zlecił nam przewóz pszenicy. Ładunek jest cenny, zarobimy na nim dobre pieniądze i dlatego musimy szybko stąd wyjechać.

Adrian skinął głową, ale rany, zmęczenie i wysiłek poprzedniej nocy nadal zdawały się być w jego kościach. Ojciec położył mu rękę na ramieniu. „Nie wyglądasz dobrze, mój synu. Jesteś wyczerpany i możesz zachorować. Lepiej będzie, jeśli ty i Isabell zostanieie tutaj, w Harderwijk. Twoja ciotka się tobą zaopiekuje.

Adrian chciał zaprotestować, ale jego ojciec nie tolerował żadnego sprzeciwu. „To moje ostatnie słowo w tej sprawie. Odpocznij trochę, obiecuję, że wkrótce wrócę. Jednak Adrian nie mógł zaakceptować decyzji ojca. Tego samego wieczoru, gdy załoga karawany była zajęta ostatnimi przygotowaniami, on potajemnie zabrał Isabell na bok. „Nie mogę tu zostać” – wyszeptał. „Mój ojciec mnie potrzebuje i chcę wiedzieć, co dzieje się z tą monetą i Lubeką”.

Isabell zawahała się. „A co jeśli nas złapią?”

„W takim razie przyjmijemy karę. Ale nie mogę po prostu siedzieć bezczynnie.

W końcu zaraziła się jego determinacją. Razem zakradli się do karawany, cicho weszli na pokład i ukryli się na dolnym pokładzie między workami z pszenicą.

Pierwsze dni na morzu były spokojne. Adrian i Isabell odważyli się wyjść ze swojej kryjówki tylko nocą, aby ukraść trochę wody i chleba. Pozostali w ukryciu, tak że załoga i ojciec Adriana nie mieli pojęcia o ich obecności.

Pewnej nocy, gdy morze było spokojne w świetle księżyca, obudził ich nagły hałas. Na statku rozległy się krzyki, rozległ się grzmot armat, a następnie ogłuszający trzask łamanego drewna.

„Piraci” – wyszeptał Adrian drżącym głosem.

Isabell i on ostrożnie doczołgali się do małego włazu. Przez właz mogli obserwować chaos na pokładzie. Mężczyźni z dobytymi mieczami i pistoletami wkroczyli do karwelu, obezwładnili załogę i wzięli ojca Adriana i resztę załogi do niewoli.

„Musimy coś zrobić!” – szepnęła Isabell, ale Adrian ją powstrzymał.

„Jeśli teraz nas odkryją, będzie to dla nas koniec. Musimy czekać.”

Mijały dni, podczas których piraci kierowali karawanę do Lubeki. Po dotarciu do portu mężczyźni natychmiast zabrali się za rozładowywanie pszenicy. Adrian i Isabell wiedzieli, że to ich jedyna szansa. Wpełzli głęboko do worków z pszenicą, wstrzymali oddech i pozwolili, by wynieśli ich wraz z workami ze statku.

Gdy tylko znaleźli się na stabilnym gruncie, skorzystali z chwili niezauważenia i prześlizgnęli się między magazynami. Bez tchu przebiegli wąskimi uliczkami, aż w końcu dotarli do dużej hali Stowarzyszenia Kupców Północnoniemieckich.

„Pomocy!” – krzyknął Adrian bez tchu. „Piraci zaatakowali nasz statek! Trzymają naszą załogę w niewoli!”

Kupcy, oburzeni bezczelnym atakiem, nie wahali się ani chwili. Zebrali się uzbrojeni ludzie, a posłańcy biegali po mieście, prosząc o wsparcie. Niedługo potem duża, zdeterminowana grupa przypuściła szturm na port.

Atak był brutalny. Słychać było świst kul, krzyżujące się miecze i krzyki rozbrzmiewały w nocy. Wielu piratów zostało schwytanych, inni zginęli w krwawych bitwach. Ostatecznie załoga Krawella została uwolniona, a Adrian pobiegł w stronę ojca, mimo panującego chaosu. Po raz pierwszy od czasu, gdy ich ojciec wydał rozkaz pozostania w Hardewijk, znów stanęli naprzeciw siebie.

„Ojcze!” – głos Adriana drżał z ulgi.

Jego ojciec zwrócił się do niego z wyczerpanym, ale dumnym uśmiechem na ustach. „Adrianie... masz...”

Nagle - nagły, bezlitosny huk przerwał napiętą ciszę. Potężny strzał.

Adrian zauważył, że uśmiech zniknął z twarzy ojca. Przez chwilę wydawało się, że czas stanął w miejscu. Potem jego ojciec zaczął powoli podupadać na zdrowiu.

„NIE! NIE!” Krzyk Adriana rozbrzmiał w nocy, gdy rzucił się do przodu i wziął ojca w ramiona. Krew była poplamiona na koszuli kapitana. Jego oddech był ciężki, a wzrok szukał oczu Adriana.

„Zostań ze mną! Proszę Cię, Ojcze! Zrobiliśmy to – jesteś wolny, jesteś – Głos Adriana załamał się, gdy ojciec drżącymi palcami pogłaskał go po policzku.

„Mój synu...” Jego głos był ledwie głośniejszy od szeptu. „Jestem z ciebie taki dumny...” Wtedy wydobył z siebie ostatnie tchnienie.

„Ojcze?” Głos Adriana najpierw był szeptem, potem rozpaczliwym krzykiem. „Ojciec!” Ale nie było odpowiedzi!

Młodego Adriana przeszył niekontrolowany ból, sprawiając, że łapczywie łapał powietrze, jakby sam został ranny. Łzy napłynęły mu do oczu, nie potrafił ich powstrzymać. Drżącymi palcami przycisnął do ust zakrwawioną rękę ojca.

Za nim rozległ się krzyk gniewu. Jeden z kupców odkrył ukrytego pirata – wychudzonego mężczyznę z pistoletem, wciąż palącego po śmiertelnym strzale. Zanim zdążył nacisnąć spust ponownie, kupcy rzucili się na niego.

Ale dla Adriana wszystko było niewyraźne. Świat wokół niego zamienił się w głuchy hałas. Zemsta, zwycięstwo – nic już nie znaczyło.

Było za późno.

Jego ojciec odszedł.

Rozdział 7

Isabell leżała bezsennie. Cisza nocy była zwodnicza – w jej głowie szalała burza. Obrazy bitwy, krzyki rannych, łamiący się głos Adriana, gdy jego ojciec umierał w jego ramionach – to wszystko ją prześladowało.

To moja wina!

Prawda uderzyła ją jak cios. Gdyby nie ona, Adrian nie wróciłby do przyczepy. Bez nich nie doszłoby do ataku piratów. Gdyby nie ona... jego ojciec nadal by żył.

Myśli krążyły jej po głowie: Gdybym nigdy nie znalazła tej książki...

Czy to był przypadek, że piraci nas znaleźli? Czy to książka Cię przyciągnęła? Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

Ja jestem przyczyną tego wszystkiego. Sprowadzam nieszczęście na ludzi wokół mnie. Nie mam pozwolenia na pobyt.

Decyzja została podjęta w jednej chwili.

Bez wahania usiadła i odsunęła koc na bok. Jej ręce się trzęsły, ale to ignorowała. Musiała odejść. Z dala od Adriana, z dala od załogi, z dala od wszystkiego. Nawet jeśli oznaczało to, że nie będzie już w stanie sama rozwiązywać swoich zagadek!

Cicho, niemal bezgłośnie, wymknęła się z kabiny. Jej kroki odbijały się głucho od wilgotnych desek. Gdy wyszła na pokład, poczuła zimny wiatr w twarz, lecz chłód w jej wnętrzu był o wiele gorszy.

Zatrzymała się na krawędzi statku. Woda pod nią była czarna jak atrament, a fale delikatnie uderzały o kadłub. Na moment zamknęła oczy.

Muszę to zrobić.

Ostatnie spojrzenie wstecz.

Wybacz mi, Adrianie.

Wzięła głęboki oddech, chwyciła linę i zaczęła się opuszczać. Liny wrzynały się jej w palce, ale ignorowała ból. Wkrótce zaczną jej szukać. Wkrótce Adrian obudzi się i zda sobie sprawę, że jej nie ma.

Ale ona nie chciała zostać.

Przynajmniej dopóki jej cień nie przynosił śmierci i cierpienia tym, z którymi czuła więź.

Rozdział 8

Isabell błędziła nocą po ulicach hanzeatyckiego miasta Lubeka.

Nawet nie zauważyła, dokąd niosą ją nogi, dopóki nagle się nie zatrzymała. Nad nią, na niebie, świeciła pojedyncza, jasna gwiazda. Błyszczał, jakby pokazywał jej drogę. Jej serce zaczęło bić szybciej. Czy to tylko moja wyobraźnia? Czy powinna podążać za tym znakiem?

Jak w transie, szła dalej swoją drogą. Brukowane kamienie błyszczały w słabym świetle, jakby gwiazdy oświetlały je swymi promieniami. W końcu dotarła do kościoła St. Mary, kościoła kupców. Skąd ona o tym wiedziała? Przed czcigodnym budynkiem stała duża statua – przedstawienie samej Maryi, delikatnie oświetlone światłem gwiazd.

Wyczerpana Isabell opadła na kolana i położyła obie ręce na zimnej ziemi.

Dlaczego tu jestem?

Dlaczego musiało do tego dojść?

Jej palce drżały, gdy dotknęła chłodnego, kamiennego chodnika. Nagle ziemię przeszył niski odgłos. Tuż przed nią z głośnym skrzypieniem otworzyły się ukryte schody prowadzące w ciemność. Wygląda na to, że ich poszukiwania jeszcze się nie zakończyły! Isabell zamarła. Jej wzrok podążał za schodami, ale pod nią nie było nic oprócz ciemności. Jej oddech był szybki i chciała wstać, lecz w tej samej chwili moneta z Lubeki wypadła jej z kieszeni, uderzyła o kamienne stopnie, potoczyła się powoli, potem szybciej – i zniknęła w głębinach.

Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Nie było innego wyjścia – musiała podążać za monetą.

Ostrożnie postawiła jedną stopę na pierwszym stopniu, potem na drugim. Każdy stopień skrzypiał, jakby kościół ostrzegał intruza. Ciemność powoli ją pochłaniała, podczas gdy ona kontynuowała opadanie.

Gdy zeszła na dół, zaczęła szukać na podłodze monety – ale ta zniknęła. Zamiast tego znalazła tylko zimno, brud i wilgotne kamienie. Ogarnęło ją rozczarowanie.

Wyczerpana osunęła się na ziemię. Siły ją opuściły i po raz pierwszy od dłuższego czasu nie mogła już powstrzymać łez.

W tym momencie, gdy wszelka nadzieja zdawała się zanikać, zabrzmiała delikatna melodia.

Dźwięki dochodziły z daleka i odbijały się echem w ciemności. Isabell wstrzymała oddech.

Melodia wydała jej się dziwnie znajoma.

Jej serce boleśnie się skurczyło.

Ta melodia...która brzmiała jak ciepłe poczucie bezpieczeństwa, jak zapach lawendy, jak delikatne dłonie głaszczące jej włosy.

Z jej gardła wyrwał się stłumiony szloch. Ta melodia przyciągnęła ją w te dziwne miejsca i teraz nagle przypomniła jej dzieciństwo i matkę.

Zobaczyła przed sobą swoją matkę, delikatny uśmiech na jej ustach i zmęczone, ale kochające oczy.

Ramiona, które ją trzymały, bicie serca, które ją uspokajało.

Jedyny raz, kiedy czuła się bezpiecznie.

Stało się dla niej jasne: chcę wrócić.

Chcę znów poczuć to uczucie.

Ale potem, w jednej chwili, zapadła ciemność.

Otchłań, poczucie straty, fakt, który owinął jej serce niczym lodowate palce.
Ale nie ma odwrotu.

Matki nie ma. Jestem sam.

Isabell z trudem łapała powietrze. I powróciło coś w rodzaju odwagi.

NIE. Nie mogła tu zostać, nie mogła tu umrzeć. Moja matka by tego nie chciała.
Zawsze mówiła mi, że mam być silna.

Nowa odwaga ją ogarnęła. Drżącymi nogami podniosła się i zaczęła iść naprzód, magicznie przyciągana do miejsca, z którego dochodziła muzyka. Ale zanim zdołała zrobić choćby krok, potknęła się i upadła na ziemię.

Ból przeszył jej prawą rękę. Zaciśnęła zęby, próbowała nimi poruszyć – i nagle poczuła coś pod palcami. Był mały, okrągły i zimny. Była tam!

Moneta.

Mennica w Lubece?

Zaciśnęła palce na nim i przycisnęła go do piersi. Następnie wzięła głęboki oddech, podniosła głowę i poszła dalej.

Melodia stała się głośniejsza.

Coś na nią czekało.

Coś, co powinna była znaleźć już dawno temu.

Isabell ostrożnie weszła do okrągłego holu. Jedynym źródłem światła było słabe światło gwiazdy, które wpadało przez zakratowane okno i wypełniało pokój upiornym blaskiem. Kurz w powietrzu tańczył w srebrnych promieniach, a jej serce biło szybciej.

Pośrodku sali stało podium wykonane z ciemnego kamienia, gładkiego i nadgryzionego zębem czasu. Na wierzchu leżało pudełko – stare, dziwne i tajemnicze.

Melodia, która w magiczny sposób przyciągnęła ją w jej długą podróż, pochodziła z tego pudełka.

Dźwięki stały się teraz tak ciche, że ledwo je słyszała, jednak głęboko w jej duszy rozbrzmiewały. Nagle Isabell zrozumiała: to była znana pieśń jej matki, tak wyraźna, a jednocześnie jak echo z odległej przeszłości.

Isabell przełknęła ślinę.

Powoli podeszła do pudełka, jej wzrok przesunął się po nieznanym symbolach wyrzeźbionych w ciemnym drewnie. Nie rozumiała ich znaczenia, ale czuła, że opowiadają historię – historię, która dawno została zapomniana.

W miejscu, w którym normalnie powinien znajdować się zamek, znajdowało się okrągłe wgłębienie.

Odcisk monety.

Spojrzenie Isabell powędrowało w stronę jej dłoni, w której wciąż mocno ścisnęła monetę z Lubeki.

Czy to był klucz?

Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

Czy powinienem to zrobić?

Zawahała się.

A co jeśli otworzy się coś, co powinno pozostać zamknięte?

Ale melodia nie dawała jej spokoju.

Serce waliło jej w piersiach, gdy wzięła głęboki oddech. Następnie podniosła monetę i ostrożnie umieściła ją w wgłębieniu.

Przez chwilę nic się nie działo.

A potem – ciche kliknięcie.

Powietrze na moment zdawało się stanąć w miejscu.

Wtedy pudełko zaczęło się trząść.

Symbole na jego powierzchni zaczęły słabo świecić, jakby w ruch poszedł jakiś starożytny mechanizm. Isabel cofnęła się o krok, jej oddech stał się przyspieszony.

Pokrywa otworzyła się z ostatnim, delikatnym dźwiękiem.

Melodia ucichła.

Zapadła złowroga cisza.

Isabell podeszła ostrożnie i zajrzała do pudełka.

Leżała tam – książka.

Serce Isabeli zabiło mocniej. Ona bardzo dobrze знаła tę książkę. To była ta sama, którą znalazła w bibliotece, tajemnicza księga z herbem na grzbiecie.

Ale jak to możliwe?

Powoli wzięła go w dłonie. Okładka wydawała się znajoma i ciepła, niemal tak, jakby książka czekała na nią. Drżącymi ruchami przewracała strony, aż w końcu znalazła stronę z piosenką.

Brakująca strona.

Z drżącym oddechem zaczęła czytać ostatni werset:
„Świat obiecuje nam złoto i blask, ale puste ręce trzymają skarby.

Nadzieja żyje w pełni w sercu, gdzie liczy się miłość, a nie posiadanie.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, książka zaczęła wibrować w jej rękach. Lodowaty oddech przeszedł przez pokój, jakby ktoś otworzył drzwi na zimną noc.

Isabell cofnęła się o krok.

Powietrze stało się ciężkie, jakby coś niewidzialnego się obudziło.

Nagle ziemia pod nią zaczęła się poruszać. W kamiennych płytach pojawiły się drobne pęknięcia, jakby coś głęboko pod kościołem reagowało na jej słowa. W pokoju rozległ się głuchy odgłos, po ścianach opadł kurz, a Isabel poczuła niewidzialne przyciąganie.

„Isabell!”

Jakiś głos przebił się przez chaos.

Gwałtownie podniosła głowę — Adrian nagle stanął na progu holu. Jego oczy były szeroko otwarte ze zmartwienia, gdy przygotowywał się na stawienie czoła niewidzialnej burzy, która przetoczyła się przez pokój.

„Isabell, daj mi rękę!” – krzyknął, wyciągając do niej rękę.

Ale nie mogła.

Niepowstrzymana siła szarpała ją, ściągając ją w stronę książki, jakby chciała ją pożreć. „Adrian!” krzyknęła, ale jej głos zaginął w otaczającym ją ryku magii.

Jej palce wbiły się w pustą przestrzeń, jej ciało stało się lżejsze, bardziej przezroczyste – a potem książka wypadła jej z rąk.

Świat wokół niej był skąpany w jasnym świetle.

Zimny dreszcz przebiegł jej po skórze.

Potem – cisza.

Rozdział 9

Do jej ucha dociera delikatny głos.

„Dziewczyno... czujesz się dobrze?”

Isabell mruga oczami ze zdziwieniem. Jej oddech jest szybki, serce wali jej w piersi. Powoli zaczyna zdawać sobie sprawę z otoczenia. Jednocześnie pamięta.

Ona już nie należy do kościoła.

Żadnej rozpadającej się sali, żadnych świecących symboli, żadnych pęknięć w podłodze. Zamiast tego – ciepły zapach papieru, wysokie półki, przyćmione światło znajomej biblioteki.

Siedzi znowu tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Trzyma książkę w ręce.

Ale tym razem – od razu to widzi – jest to kompletne. Strona z piosenką jest tam, jakby nigdy nie została wyrwana.

Przesuwa palcami po papierze w nierealistyczny sposób.

„Isabell?”

Ona podnosi wzrok. Przed nią stoi bibliotekarz – znajomy starszy mężczyzna o śnieżnobiałych włosach, pomarszczonej twarzy i życzliwych oczach.

Isabell szeroko otwiera oczy.

„Panie Humbert?” – wyszeptała z niedowierzaniem.

Bibliotekarz marszczy brwi.

„Mistrzu... co?” Kręci głową i cicho się śmieje. „Dla ciebie jestem panem Kirchhoffem. Ale... masz rację, moje imię jest podobne. Nazywam się Hubert.

Dreszcz przebiegł po ciele Isabell.

Zbieg okoliczności?

A może to cień z innego czasu, echo świata, który właśnie opuściła?

„Skąd znasz moje imię?” – zapytał ciekawie.

Ale Isabell nie potrafi odpowiedzieć.

Spojrzała na książkę, potem w jego oczy – i teraz już wiedziała na pewno!

To już koniec.

Wróciła w swoim czasie.

A Adrian...

Zimny cios przeszył jej serce.

Adrian jest i odszedł.

Nigdy go już nie zobaczyła.

Poczuła głęboki ból w piersi, ale zmusiła się do uśmiechu. Drżącymi rękami podaje książkę bibliotekarce i mruczy:

„Tak jak jest, powinno znaleźć się w bibliotece.”

Po czym wychodzi w pośpiechu.

Uderza w nią zimny wieczorny wiatr, lecz ona go prawie nie czuje. Jej myśli wirują, głowa jest jednocześnie pełna i pusta, a serce ciężkie.

Ale z każdym krokiem rzeczywistość staje się coraz bardziej namacalna. Ona jest z powrotem tutaj.

A nie Adrian.

Rozdział 10

Kiedy wraca do domu, czuje podekscytowanie. Ale to jest ekscytacja, którą teraz będzie mogła opanować. Po wszystkim, co się wydarzyło, jest zdeterminowana i pewna siebie. Przynajmniej tak ona myśli.

Kiedy otworzyła drzwi, jej ojciec siedział sam w pokoju.

Spojrzał na nią poważnie i wskazał na krzesło naprzeciwko niej.

„Isabell... musimy porozmawiać.”

Siada powoli.

Jej ojciec bierze głęboki oddech. „Długo się nad tym zastanawiałem. Twoje małżeństwo z macochą... nie układa się. „Rozstałem się z nią.”

Isabell patrzy na niego.

Słowa docierały do niej powoli.

Twoja macocha odeszła?

Już nie będzie krzyków? Nigdy więcej się nie bać?

„Naprawdę?” szepcze Isabell.

Jej ojciec kiwa głową.

Przez chwilę może tylko siedzieć bez tchu. Potem zrywa się, biegnie do ojca i rzuca mu się w ramiona.

„Tato!” Jej głos się załamuje, gdy mocno go przytula. "Tak bardzo cię Kocham!"
Trzyma ją równie mocno.

„Ja też cię Kocham, moja dziewczyno.”

I po raz pierwszy od dłuższego czasu jej dom znów stał się jej domem.

Następnego ranka Isabell budzi się z uśmiechem.

Przed nią nowe życie.

Wstaje, cicho nuci znaną melodię piosenki i przygotowuje śniadanie dla siebie i ojca.

Życie przygotowało dla niej jeszcze jedną niespodziankę.

Na pierwszej lekcji w szkole ma biologię.

Jak zwykle Isabell siedzi sama, miejsce obok niej pozostaje puste.

Z westchnieniem informuje nauczyciela. „Panie Neumann, czy mógłbym mieć współlnika?
Trudno jest zrobić wszystko samemu.

Nauczyciel uśmiecha się łobuzersko.

„To prawdopodobnie zmieni się dziś”.

W tym momencie drzwi się otwierają.

Wchodzi dyrektor, a obok niego chłopiec.

Isabell łapczywie łapie powietrze.

Jej serce na sekundę przestało bić.

Adrianie!?!

„To nasz nowy kolega z klasy” – wyjaśnił dyrektor. „Przeprowadził się z Harderwijk do
Emmerich wraz z siostrą i ciotką. Nazywa się Adrian van Ruyter.

Czy to był sen?

Adrian siada obok niej, odkłada plecak i patrzy na nią.

Na jego ustach pojawia się delikatny uśmiech.

„Adrian?” wyszeptała z niedowierzaniem.

Przechyliła głowę.

Po czym mówi cicho:

„To była długa droga do ciebie... ale teraz cię znalazłem.”

„Posłuchaj głosów szepczących cicho, pieśni, której czas nigdy nie zapomniał.

Rzeka, która prowadzi w wieczną podróż do morza, które zawiera wszelką prawdę.”

„Czas płynie w morzu płomieni, gdzie cienie cicho strzegą snu.

Płonie ogień, przebijając się przez cierpienie, do świata, który niesie nadzieję.

Świat obiecuje nam złoto i blask, ale puste ręce kryją skarby.

Nadzieja żyje w sercu, gdzie liczy się miłość, a nie dobra materialne.

Refren:

Posłuchaj, świat śpiewa łagodne pieśni o miłości, która zwycięża ból.

Nadzieja rośnie i zawsze powraca, jest światłem, które nigdy nie pozostaje w cieniu.